

Nr. 43. Poznań, dnia 26 Października 1878. Rok I.

DWA ŚLUBY.

Szkic

przez

Paulinę z Ł. Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Cierpi człowiek bo służy sam sobie za kata,
Sam sobie robi koło i sam się w nie wplata.
Adam Mickiewicz.

Z *Kurhaus'u* płynęły nader dźwięczne tony fortepianu. Było to pod wieczór, i promenada już niemal pusta. Wtém nadeszli Leon, Michał i Adam.

— To Szopena! — zawołał ten ostatni. — Wejdźmy na salę.

Weszli i usiedli, słuchając pięknéj muzyki z przyległego salonu.

— Śliczne wykonanie -- wymówił znowu Adam, a Michał posunął się ku drzwiom salonu fortepianowego, zajrzał przez szparkę, wrócił i wyrzekł:

— Pani Michalina gra.

Leon zapłonął.

Fortepian umilkł — i dało się słyszeć parę głosów. Potém znowu kilka dźwięcznych uderzono akordów; lekkie palce przebiegły w szybkim polocie różne skale tonów; zadźwiękło harmonijne *preludio* — i popłynęła *mezzo — voce* cudna nuta swojska. Głos miękki, giętki, gładziutki jak stal polerowana, czysty, pełen słodyczy, z oddźwiękiem nieokreślonéj rzewności, wtargnął do głębi uczucia słuchaczy.



Bogdan Jański.

— Prześlicznie! — zawołał Adam.

Leon spochmurzony, czoło na dłoń opuścił.

— To pani Michalina — poszepnął Michał znowu, spojrzawszy z boku na niego. —

Adam porwał się, pobiegł ku drzwiom salonu i odemknął je lekko, bez szelestu: śpiew wyraziściéj ich doleciał, a zarazem i słowa:

Czyliż mówi ci pociecha,
Jak ma słodki, błogi kwiat,
A głos skargi twéj bez echa,
Płynie — płynie w świat.
. . . . *)

Tony piosenki przewiały. Chwilowa w salonie i na sali potrwała cisza. Potém drzwi szybko otworzono i wybiegł Poraj. Leon zadrgnął — i po licu jego jakiś dziwny przemknął wyraz.

Poraj uprzejmie do nich przemówił — poczém na *garçon'a* zawołał, by podał herbatę, i do salonu powrócił.

— Pan Poraj!... Gdyby nie pan Poraj, to kto wie! — uśmiechnął się Adam — lecz widzę, rozumiem.

— Chodźmy! — i Leon powstał.

— Markotny — poszepnął Adam Michałowi, a ten ostatni, kiwnąwszy głową, zcicha zadeklamował:

— „A kiedy ją utracił, jak mu teraz miła!“

— Co tam zatrzymujecie się jeszcze? — odwrócił się Leon.

*) *Pieśń jesienna* Karola Brzozowskiego.

W téj chwili odozwał się znowu fortepian. Wszyscy przystanęli. Jakoś weselsza zadźwiękła nuta, i głos miły, świeżutki, silny i czysty przyniósł znaną a ładną piosenkę *Czarne oczy*.

— To pani Stefanija Komelska — wymówił Michał.

— Więcéj uroczym i tkliwym, wprost do duszy płynącym jest śpiew pani Michaliny — wyrzekł Adam. — Tak, jak w ogóle — dodał ciszéj — dziwna, zachodzi różnica pomiędzy temi dwiema siostrami.

— Chodźcież! — krzywił się Leon.

— Poczekajmy! Adam przypuszczał, że pani Michalina raz jeszcze zaśpiewa, ale gdy w salonie głośniéj rozmawiać poczęto — więc i on za drugimi pospieszył.

Nazajutrz ranek był mglisty, posępny. Leon posłyszał dzwonienie w kaplicy katolickiéj, i w téjże saméj chwili wyszła z pod *Leuchtende Stern* Michalina, czarnym okryta burnusem, w kapeluszu popielatym z czarną zasłoną. Skręciła ku kaplicy — i on pobiegł także, by mszy ś. wysłuchać. Michalina klęczała wprost ołtarza, ukorzona, pochylona — ze złożonemi na piersi dłońmi. W kaplicy tylko kilka było osób nieznanych. Kapłan cicho ś. ofiarę spełniał. Leon usiadł na boku. Widział jak Michalina modliła się gorąco — i wśród ciszy uroczystéj doleciało go jéj łkanie tłumione — przyciskała chustkę do oczów: płakała żałośnie — i on sam o mało, że nie zapłakał. Powiedział sobie że do tych łez przyczyniło się jego lekkomyślne postępowanie — i dotkliwie własne zraniły go wyrzuty.

Msza ś. się skończyła. Zaczekał, dopóki ona nie wyjdzie. Klęczała jeszcze, pochyliła się ku ziemi i potrwała przez chwilę w téj postawie; potém powstała, zapuściła czarną zasłonę i wyszła. Leon zwolna udał się za nią. Deszcz lał strumieniami. Obok kaplicy mieszkał znajomy Leonowi krawiec — wbiegł do niego i pożyczył deszczochrona, z którym za Michaliną poszpieszył. Szybko szła naprzód.

— Niech pani pozwoli — wymówił nieco drżącym głosem, rozpościerając nad nią czerwoną przysłonę.

Zadrgnęła mimowolnie a — zwróciwszy się zlekka ku niemu, odrzekła:

— Dziękuję — i znowu czoło skłoniła.

W milczeniu szli daléj, a milczenie to niemal stawało się cierpkiem: Leon nie śmiał go przerwać.

Wtém nadbiegł Komelski z deszczochronem i płaszczem.

— Dziękuję ci, Leonie! — zawołał, ale jakoś chmurnie spojrzał. — Chciałem wziąść fiakr, szukaliśmy z Porajem, lecz jeszcze nie masz żadnego — osłonił siostrę żony płaszczem, rozpostarł nad nią swój deszczochron, i podał jéj rękę. Leon ustąpił — ale szedł obok i rozmawiali przez drogę. Dopiero przed mieszkaniem państwa Komelskich rozeszli się.

Leon wbiegł do siebie. Michał był już u źródła — on w domu pozostał.

Dnia pewnego z rana, Leon sam jeden siedział przy oknie w swoim pokoju. Okno niby to przeciwko muchom, kazał zastawić ramą, zaciągniętą rąbkiem — i niedojrzany z ulicy siadywał przy niem. — Siedział i dumał, gdy w tém z pod *Leuchtende Stern* wyszła postać niewieścia popielato ubrana, w kapeluszu słomkowym — a za nią pan Poraj. Przeszli przed ogródek, skierowali się na drogę zwirową, topolami i akacyą ocienioną, prowadzącą do jednego z miejsc przechadzkowych, i daléj zwolna postępowali.

Leon porwał się nagle — jakoś chmurny i kwaśny — podjął niby pomimowolnie swój *panama*, i wybiegł jakoby od niechcenia. Kroki jego skierowały się w téż samą stronę, którą sobie obrali pani Michalina i pan Poraj — lecz udał się ścieżką uboczną, ocienioną krzewami. W téjże chwili nadeszła i pani Komelska — w białym stroju, z różowemi kokardami — i złączyła się ze siostrą. Długą chwilę szli daléj pospołu — potém usiedli na ławce pod akacyą — i ożywioną wiedli rozmowę.

Leon rzucił się w cieniu na murawę; zapalił cygaro, lecz i porzucił je zaraz znowu; wyraźnie w nieznośnym był humorze.

„Jakaż długa konferencya!“ — poszepnął sam do siebie kwaśno, patrząc się na trzy osoby opodal siedzące — gdy przez gałązki krzewiny południowe słońce w plecy piec go zaczęło. Pozostał wszelako w miejscu, usunąwszy się tylko nieco.

Wreszcie popielata podniosła się postać, a za nią i dwie drugie. Poraj podał rękę pani Michalinie, i zwolna powracali pod *Leuchtende Stern*.

Leon porwał się także — popatrzał za niemi — niby pobladł, usta jego jakoś skrzywiły się dziwnie. — „Deklaracya“ — poszepnął — „cieszę się z tego bardzo.... niewymownie się cieszę.... nieskończenie!“ — Odwrócił się nagłém poruszeniem i daléj w pole pobiegł. Po długiéj dopiero chwili powracał drogą zwirową; przystanął przed ławką na któréj wymienione osoby były siedziały; rzucił się na nią i podumał: jak gdyby w szmerze listków akacyi był dosłyszeć pragnął, co tamże mówiono dopiero.

Gdy do mieszkania swojego powracał, ujrzał przed *Leuchtende Stern*, pod drzewami, stół do objadu nakryty. Pan Poraj siedział opodal i czytał gazetę.

W oknie swojego pokoju pod *gwiazdą*, blaskiem słońca rozpromienioną, stała Michalina, bez kapelusza — i rozwięzywała bukiecik z barwnych kwiatów.

„Aha!“ — wybąknął Leon z goryczą — „ale co mi tam!“

Nader kwaśny stanął pod *Goldene Krone*.

— Gdzieżeś bywał? zapytał go Michał.

— Głowa mnie boli i przeszedłem się trochę, ale nie ulżyła mi przechadzka — i położył się na kanapę.

Na objad pójść nie chciał, i przez dzień cały był marudny, kwaśny, gorzki — i niby chory.

Tegoż dnia samego napisał Leon do matki — a był w liście jego taki ustęp:

„Matko moja ukochana! — Pragnę co rychléj do domu powrócić: pociąga mnie silna, wrząca a tęskna potrzeba serca. Za wiele już, za wiele było téj włóczęgi! — Zasiedzę się w domu — a prócz Ciebie, najdroższa, jedyna Matko, z nikim przestawać nie będę: życie z naturą — spokojne a czynne będzie mi szczęściem. Jestem chory, znękany — znękany na umyśle i duszy — i stetryczałem. Życie spokojne, odosobnione w Przysieku uleczy mnie — a Ty, najdroższa Matko, staniesz mi za pociechę wszelką. Dziś już chętnie opuściłbym K. — wstrzymuje mnie poczciwy Michał i twierdzi: że zgrzeszyłbym przeciwko Tobie, kochana Matko, gdybym rozpoczętą tutaj przerwał kuracyą. A czuję się chorym, naprawdę.“

O bytności Michaliny w K. Leon i słówka jednego nie wspomniał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O PRZEKŁADZIE „PANA TADEUSZA“

na język rosyjski

przez Berga.

Napisał S. T. D.

(Ciąg dalszy.)

Dotarłszy przez „wstęp“ do księgi Iszéj tłómaczenia, krytyk doznaje wrażenia jakiem napojony bywa podróżny gdy po zmudnej żegludze, po trudach i mieliznach do upragnionego portu zawita. — Mniejsza o literalną dosłowność; w przekładzie tego rodzaju nie tyle chodzi o to aby *tak samo*, jak aby *to samo* było oddane; a przyznać należy że dźwięki natchnione wiersza, jak w oryginale, spływają spokojnym, majestatycznym strumieniem wezbranego uczucia. Ta sama rzewność w oddaniu głębokiej wiary w pomoc Ostrobramskiej Opiekunki, ta sama pogoda malowniczego obrazu Litwy. Przebacza się nawet w początkowym czterowierszu orzeczenie „Otczizna miłaja,“ które jak wyżej powiedziałem może być tylko następstwem prozodyjnej, dźwiękowej różnicy dwóch pobratymczych języków. — Dla tego niemogę się wstrzymać od przytoczenia całego wstępu przekładu księgi Iszej. Ponieważ jednak dla ogółu Polaków nie będących pod zaborem rosyjskim alfabet Cyrylski jest obcym, przeto aby ułatwić zrozumienie rzeczy, wreszcie dla braku odpowiednych czcionek, pozwalam sobie użyć ogólnie znanej grafiki łacińskiej: *)

Początek Pana Tadeusza po rosyjsku i po polsku.

Otczizna miłaja! podobna ty zdorowiu:
Tot istinnoj k tiebie ispołnitsia lubowiu,
Kto potieriał tiebia . . . . w stradaniach i borbie,
Otczizna miłaja, ja płaczu po tiebie!

Mat' Bogorodica, czto bodrstwujesz nad Wilnoj
Swojej opiekoju, szczedrotami obilnoj!
Mat' Czenstochowskaja, na Jasnoj czto Gorie:
Kak umirajuszczéj leżał ja na odrie,
Ustami żarkimi chwału tiebie czitaja —
I ty spasła mienia zastupnica swiataja:
Tak błagostynieju bożestwiennych szczedrot
Spasiosz kogda-nibud' otwierżennyj narod.
Tiepier niesi moj duch, skorbiaszczyj i unyłyj,
K dalekim niebiesam mojej otczizny miłoj,
K jeja zadumcziwym pustyniam i ługam,
K zielionym Niemana i Wilii bregam,
S ich Białowieżskoju nieprochodimoj puszczej,
Błagouchannoju, razkosznoju, cwietuszczej,
K poliam, ispołniennym niewiodomych krasot,
Gdie zito wsiakoje w obilii rastiot,
Pszenica-załoto, sierebrianaja griecza,
Miedwianyj zapach swoj niesuszczaja daliecza;
A tam — gustoj jaczmień, i proso, i owies;
I gdie na rubieżach, mież wietieł i bieriez,
Uwidisz tichuju, zadumcziwoju gruszu . . . .
Tuda wiedi maju taskujuszczuju duszu!

Litwo! Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie! —

Panno święta co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mię dziecko do zdrowia powróciłaś cudem —
Gdy od płaczącej matki, pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę;
I zaraz mogłem pieszo, do Twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu — —
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono!
Tymczasem, przenoś moję duszę utesknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną — na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

---

*) Nie bez powodu tłómaczę się niejako z mojej czynności. W 1854 r. wydał p. Berg „Pieśni raznych narodow.“ W przedmowie do pieśni rusińskich, które po części czerpał z polskiej książki pod tytułem „Pieśni ludu Galicyjskiego,“ użala się mocno na to iż ich zbieracz Wacław z Oleska użył alfabetu łacińskiego: „..... w galicyjskich pieśniach — powiada — zmieniłem alfabet. Niemiło jest patrzeć jak gwałtem (nasilstwenno) narzucone bywa temu narodowi polskie pismo.“ Potem, odpychając jako niesłuszne, wywody wydawcy który w Cyrylskiej grafice upatruje zaporę do rozpowszechnienia rusinskiej literatury w Europie, dodaje w końcu: „ze wszystkiego widać że niepojmuje (Wacław z Oleska) tych rzeczy i nie przepuszcza iż ci co posługują się Cyrylicą są z niej dumni i za nią kości swoje złożyć gotowi.“

Kości złożyć za Cyrylicę! doprawdy niewidzę potrzeby, nikt na nią *gwałtem* nienapada i przemocą wydrzeć niepragnie. Rozumowania pro i contra, trzymanie za jedną lub drugą metodą graficzną, należeć może do utarczek na polu techniki piśmienniczéj. Praktyczność, nauka, wreszcie nawyknienie rozstrzyga; polityka, duma a raczej szowinizmem podszyty patriotyzm, winne tutaj stać na uboczu. Polacy *gotyk* dawno już zaniechali, teraz rozmyślają nad tem Niemcy. Dla tego niemożna z powodu używania takiej lub innej grafiki być dumnym, lub na odwrót biorąc — upokorzonym. Przyjęcie pewnego pisma zależy od wypadku a raczej od geograficznego sąsiedztwa narodów. Gdyby oddaloną Północ, droga handlowo-wojenna przez Dniepr i Czarne Morze, niebyła zbliżyła do Wschodu, być bardzo może że Rosjanie, używaliby dziś wespół z nami pisma łacińskiego i nicby na tem niestracili. Wszak i Cyrylicę nie wszyscy mogli jednakowo lub w zupełności, w miarę rozwoju języków, do względnych swych głosowni zastósować. U Serbów ustaliła się obca jej *j* (jota), która i u Rusinów coraz więcej gruntu

Ustęp ten niepodobno piękniéj oddać; język przepyszny! ale...... i na słońcu są plamy. — Tak utalentowany tłómacz, wbrew własnym słowom, nawet

„...... przed uroczym poezyi obrazem

„ . . . .

„Gdzie świat zupełnie inny, gdzie ustają bitwy."

nieuszanował myśli naszego wieszcza:

„Tak nas powrócisz cudem na ojczyzny łono..."

i w wezwaniu Matki Boskiej włożył w usta Mickiewicza wcale *nie polskie* przekonanie:

„Spasiosz kogda-nibud' *otwierżennyj narod*"
(Zbawisz kiedyś *odrzucony naród*).

Trąci to nieco polityką. — Mam nadzieję że gdy p. Berg wróci jeszcze raz do swego przekładu, zamiast *otwierżennyj* umieści inny imiesłów, choćby np. *stradajuszczij* (bolejący), z tą samą prozodyczną wymową, zatem niepsujący stopy i miary wiersza, a bardziéj z tekstem i duchem polskim zgodny; albowiem mocno w to wierzym że Bóg nas nie *odrzucił* jeszcze, lecz owszem, miłuje choć nawiedzić raczył. —

Ciąg dalszy nastąpi.

Pamiętnik Księżnéj G.

z roku 1830 i 31.

Z archiwum Muzeum narodowego w Rapperswyl
uporządkował i wydaje H. W.
(Ciąg dalszy).

Chciałabym, żeby te wszystkie wyfiokowane damy, mniéj pilne nikczemnych ozdób dla siebie, biegły dopomagać opatrywaniu rannych, niosły im usługi i posiłki. Przejęta boleścią i zgrozą poszłam załatwić interesa moje. Dowiedziałam się, jak już zapadł wieczór, że lasek Grochowski, w którym się byli umieścili korzystnie Moskale, nareszcie po całodniowéj walce, zasłany trupem, oczyszczony z nich został. Tylko w jednym rogu trwał był ogień, kiedy dla zmroku ustać musiał. Krukowiecki zaszedł był z boku, kiedy attak trwał z frontu i tym sposobem przycisnąwszy nieprzyjaciela, zmuszono go do ustąpienia miejsca.

Wróciłam do mojéj siostry, przybyła tam Dziekońska. Obie deklamować zaczęły przeciw temu co się działo. Dziekońska przeklinała Ostrowskiego, za podejście jak twierdziła Sejmu, wyzywając *déchéancs*, któréj skutki widziała w téj dwudniowéj walce, bez stanowczego zwycięztwa. To arbitrowie, odezwał się Rautenstrauch, zmierzając winę dla mnie, zdeterminowali detronizacyą. Dziekońska moja przyjaciółka, uczuwszy, że z jéj podania ten mnie czyniono zarzut, odbiła go, całe oskarżenie zrzucając na Ostrowskiego. Przytaczała różne różnych lamenta i żale z tego względu po ulicach szerzone, jak dowodziła razem z Łucyą. To przerażenie, ten popłoch tłumaczyłam widokiem pola boju tak niezwykłym dla kobiet, ale stracenia zupełnego nadzieji, rozpaczy, chęci przelania ich w innych, pojąć nie umiałam.

Kontentowałam się odpieraniem niesłusznego zarzutu czynionego Ostrowskiemu dowodzeniem, że kiedy liczne szeregi swoje zabrał Mikołaj wzdłuż granic naszych i naprzeciw wojsku naszemu czy mniemałaś Maryniu, że to dla tańcowania Mazurka lub Galopady? a że w niczem wyrzeczony upadek Mikołaja nie przyspieszył ani na chwilę nawet wstępu na ziemię naszą nieprzyjaciół, masz tego najniezaprzeczeńszy dowód w liście mego męża pisanym, a prawie w ten sam dzień (24 Stycznia) sławnéj na wieki sessją sejmową, którą tak oskarżasz, że tegoż 24. czy 25go z pewnością wnijdą na pięciu punktach, na ziemię naszą, o czem miał od ich wojska najpewniejszą wiadomość.

Tak się też i stało, z tą jedynie różnicą, żeśmy datę ich kalendarza za naszą wzięli, oczekując wejścia zaraz, gdy

---

zyskuje: natomiast o literze *jor* (twardym znaku) i słyszeć niechcą, bo prawdę mówiąc i w wielkoruskiem narzeczu jest ona piątem kołem u wozu. — Przytem u Rosjan samogłoska *o* często jak *a*, samogłoska *e* czasem jak *jo*, a prawie zawsze jak *je* się wymawia Cyrylica zatem nie jest ostateczną doskonałością któraby wszystkim fonetycznym wymaganiom słowiańskich a w szczególności Rosyjskiego narzecza zadość czyniła; przeto ani dumy ani też zazdrości obudzać nie powinna.

Teraz pozostaje jeszcze sprawa wydawcy „Pieśni ludu Galicyjskiego," zostającego pod zarzutem *gwałtownego narzucenia* Rusinom pisma polskiego. — Podobne głosy dawały s ię już nieraz słyszeć, mianowicie po wyjściu z druku przekładu „Eneidy Kotlarzewskiego" a potem „Piosnek Padury." Widoczna że wzgląd na fonetykę a zresztą przyzwyczajenie były powodem użycia alfabetu polskiego a raczej ogólnie europejskiego.

Nigdy Polacy nietargnęli się na najświętszą własność narodową, na język Rusinów; wybitnem świadectwem tego prawo krajowe, Statut Litewski ich językiem pisany a który na Rusi Polskiéj dopiero ukazem cesarza Mikołaja obalonym został. — Faktowi temu zaprzeczyć niepodobna. Praktyka w sprawach publicznych w życiu prywatnem się odbiła, i ztąd tradycja szanowania cudzej ojczystej mowy tak jest po dziś-dzień żywą, że i teraz w codziennem zetknięciu się z rusińskim żywiołem przy gospodarstwie oraz w domowych stosunkach, na całej Rusi (Wołyniu. Podolu i Ukrainie), z najemnikiem i sługami, Polacy rusińskiego języka prawie wyłącznie używają, chociaż nikt ich do tego niezmusza.

Niema w niczem absolutnej doskonałości na tym padole, — ludzie nie święci, może nie w jednem się zawiniło, ale to było kiedyś, były to inne czasy. Daremne krzyki galicyjskich Rutenów!... Przez porównanie, przez zestawienie przeszłości z grozą faktów obecnych, osiąga się dopiero prawdziwa miara w ocenieniu rzeczy i ludzi. Obaczymy zaraz kto nie tylko alfabet ale nawet sam język Rusinów na pohybel skazuje.

Aby raz na zawsze ubić wszelką możebność polemiki, przytaczam dosłowny przekład ukazu cesarskiego z dnia 18/30 Maja 1876 r.:

„Jego Cesarska Mość najmiłościwiéi rozkazać raczył:

1. Wprowadzenie w granice Państwa jakich-bądź książek lub broszur wydanych za granicą w języku rusińskim niebędzie mogło być dozwolonem jak tylko za wyłącznem upoważnieniem głównéj dyrekcyi spraw prasowych, zasiadającéj w Petersburgu.

2. Zabrania się na całéj przestrzeni cesarstwa drukowania „dzieł oryginalnych lub tłómaczeń w języku rusińskim dokona- „nych. Wyłączone są: a) dokumenty historyczne i b) utwory lite- „ratury nadobnéj; ale pod warunkiem że 1) ortografia dokumentów „historycznych nietykalnie zachowaną zostanie; że 2) nie dozwoloną „będzie najmniejsza zmiana w ortografii *ogólnie przyjętéj* (!!!); i 3) że „wszelkie rękopisy będą poprzednio oddane pod cenzurę głównéj „dyrekcyi spraw prasowych.

„(podpisano:) Szef głównéj dyrekcyi spraw prasowych.

„Grygoriew (profesor uniwersytetu.)"

Ortografia *ogólnie przyjęta* — łatwo odgadnąć, jest rosyjska, urzędowa.



Powitanie wiosny na Ukrainie.

(Objaśnienie w przyszłym numerze).

oni we dni dwanaście dopełnili planu. Tak dalece mąż mój był pewien tego ich postanowienia, iż lękając się iżby w Suwałkach nie został odcięty, w ten moment ztamtąd wyjechał napowrót do Płocka, rozkazawszy wszystkim oddziałom już uorganizowanym nowo zaciężnych, też samą wziąść dyrekcyą. Mało te moje argumenta popłoch przekonać mogły — i kiedym zapytała, czy myśli wyjechać z Warszawy, odpowiedziała mi, że niebawnie, jak tylko wejdą Moskale, dotąd się odłączać od swoich, którzy walczą, nie chciała. „*Więc ty myślisz, że wejdą Moskale?*" z podziwieniem zapytałam. „— Najmniejszéj nie ma o tem wątpliwości" — odpowiedziała. Aż serce krwią mi się zalało, że przyjaciółka moja, Polka, bez dobréj do tego przyczyny, tak bolesną myśl przypuszczała. „*Dla czego?*" Tu zaczęła przeklinać moja siostra tych co zaczęli rewolucyą, oznaczając ich najniższemi epitetami, i dodając, że tysiąc razy lepiéj byłoby, żeby ich na drobne kawałeczki posiekano, aniżeli to nieszczęście, które na kraj ściągnęli. Te mnogie wyrzekania przeciw najświętszéj sprawie, ten widok człowieka w sile, a szwagra niestety mojego, przewracającego się między dwoma prześcieradłami z boku na bok, udającego chorego, dla usunięcia tym sposobem usługi swojéj krajowi, w chwili jego niebezpieczeństwa, w chwili kiedy strzał słyszany przedstawia trupem zasłane pola i krew bratnią płynącą, którąby szlachetne uczucie tak pomścić potrzebowało. Ta wykalkulowana rachuba na każdy przypadek dla własnego interesu, to całkowite odłączenie się od rodaków i ich sprawy — zawsze podłe — w nieszczęściu podlejsze; to ironiczne zapytanie, które mi uczynił: „gdzież są te obce posiłki? gdzie ta Francya, ta Anglia, co nas wspierać miała? Ta cała Europa? Głupstwo zrobili ci — co rewolucyą zaczęli, szelmostwo zrobił Rząd, który ją wyzwał!" — „A wreszcie o cóż idzie? Zginiemy to dobrze, lepiéj umrzeć niż żyć w jarzmie upodlenia, które było systemem rządu tamtego! Bądź spokojny o tych, co umrzeć postanowili! Waleczni zginą i w niczem nie przeszkodzą podłym do zapewnienia sobie dalszego losu. Ci zawsze swoją drogą pójdą." —

Znasz się ty z nią dobrze, pomyślałam, i też żeby, jak mówisz Europa nas wsparła, nie leżałbyś do góry brzuchem nieczynny, kiedy Polacy chwały się dobijają, kiedy ich krew płynie, — gdybyś miał więcej pewności, że przy nich zostanie zwycięztwo.

Te więc wszystkie wyrażenia i obrazy do takiego stopnia doprowadziły oburzenie wszystkich władz moralnych we mnie, taką dla nich czułam wzgardę, że pomimo nocy, pomimo niepewności drogi w takiéj porze, gdy w bliskości pola bitwy łatwo włóczęgę spotkać można, postanowiłam uciec z tego piekła, gdzie na noc jednę nie znajdowałam sposobności oprzeć głowy spokojnie. Szukałam więc wszystkich środków dla dogodzenia téj koniecznéj duszy mojéj potrzebie. Lecz ani koni na poczcie, ani nająć ich nie mogłam; widzieli to i Pan i Pani Rautenstrauchostwo, sześć, czy ośm własnych stało w stajni, nie dali ich nawet do wożenia rannych, ani dla żadnych potrzeb chwilowych, dla bojowego wojska, czego to tak gwałtownie potrzebowało — i mnie ich nie dali. Ale poradzono mi, żebym się udała do Pana Strzyżowskiego, który stoi u nich, czy swojéj pary mi nie pozwoli. (Długo nieobecny Strzyżowski zjawił się nakoniec, by zwiastował, że taki nieład trwał na polu bitwy, że nikt nie szedł za rozkazem komenderującego i podług swego widzimisię dowolnie postępował. Mówiła siostra, że Strzyżowski, źle widziany). Dał mi koni P. Strzyżowski do Błonia, ztąd częścią pocztą, częścią najętemi końmi w poniedziałek stanęłam w Kaliszu, z wielkiém zadziwieniem matki mojéj, za tę, przeciw jéj zdaniu odbytą wędrówkę.

Pan Strzyżowski, mianowany Prezesem Komisyi Wojewódzkiéj w Siedlcach przez Rząd rewolucyjny, za zbliżeniem się nieprzyjaciół pierwszy z miejsca uciekł, o co Rząd bardzo go napominał, a opinia się srożyła. Odtąd nieczynny osiadł w Warszawie. Ofiarowano mu pułk, nie przyjął — przynajmniéj z tem się chwalił, na rachunek złéj chęci jego położyłam wiadomości przyniesione z pola walki.

We trzy dni po moim przyjeździe przyszła wiadomość batalii 15 Lut., tak chlubna dla wojska naszego, a tak osobliwa w szczegółach swoich. Pisałam do mojéj siostry, iż pewna jestem, że Skrzynecki, ten wódz nowo obrany, pomimo, że dla pękającéj już Wisły ściągnął wszystkie wojska nasze na lewy brzeg Wisły, odniesie wojnę na sercu, gdzie się ona zaczęła i gdzie daléj prowadzoną być winna. Zachęcałam jednak moję siostrę, żeby opuściła Warszawę nie narażając się na wszelki przypadek przyjmowania Moskalów w Stolicy. Pamiętna mowa ks. Adama Czartoryskiego, wola i zapał narodu, równie jak moje przekonania były dla mnie rękojmią, że zajęcie stolicy nie groziło klęską świętéj sprawie.

Odebrałam list od Szyrmy, w którym włączone były depesze od Rządu do Anglji, z poleceniem przeniesienia takowych bez zwłoki za granice Pruskie, i przyłączeniem pieniędzy na ekspens. Że jednak coś wątpliwego co do nagłości w tym przedmiocie zachodziło, a do tego w obecném położeniu interesów kraju, chciałam obrotu ich być bliskim świadkiem, i nie oddalać się; napisałam do Szyrmy prosząc o dokładniejsze objaśnienia, co dni cztery przeciągnęło ten interes; sama zaś udałam się do Prezesa Kom. Woj. Niemojewskiego, który z podziwieniem widział do bióra gdzie zasiada, wchodzącą kobietę. Lecz na wymówienie mego nazwiska, powstał z wyrazem na twarzy dawnéj znajomości, połączonéj z szacunkiem. Zaraz z zaufaniem zaczął mówić do mnie obszernie o rzeczach istniejących, po czem prosiłam go czyby nie znalazł zręczności przesłania z pewnością depesz mnie powierzonych, o których on od Rządu został uwiadomiony, w sposób zapewniający mię, że kilkadniowa zwłoka nie przyniesie różnicy w interesie. Obiecał mi postarać się o zręczność przesłania ich natychmiast; gdy ta jednak się nie nadarzyła, wyjechałam 5go Marca do Drezna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BOGDAN JAŃSKI.

W szeregu znakomitych mężów, których Polska ostatniemi czasy wydała, nieposlednie a wybitne stanowisko dzierży bez wątpienia Bogdan Jański. Już to samo że był przyjacielem Mickiewicza, Bogdana Zaleskiego, Domejki, Cezarego Platera i wpływ na nich wywierał. może posłużyć za dowód znakomitego stanowiska Bogdana. Jański to pierwszy wezwał emigracyą polską a przez nią i cały naród do odrodzenia religijnego. Znaną jest rzeczą, że głównie w skutek wojen francuzkich ostygło w Polsce przywiązanie do wiary ojców, przynajmniéj w wyższych warstwach narodu. Jański słowem i czynem rozpoczął walkę przeciw téj oziębłości. Jego działalność stworzyła ruch religijny, który ogarnął nietylko Polaków, ale i część Francuzów. Ruch ten trwa po dziś dzień,

owszem coraz szerszem rozlewa się korytem. Jestto zatem ważny powód, aby życie i czyny Jańskiego były znane więcéj, niż dotąd, polskiemu społeczeństwu.

„Lech“ dla szczupłości miejsca nie może umieścić wyczerpującéj biografii tego męża, ale nie ma też i potrzeby, gdy istnieje obszerne dzieło o Jańskim, które jest tak sumiennie i pięknie opracowane, iż trzebaby je chyba całe w naszém piśmie przedrukować. Dzieło to nosi napis: „**Bogdan Jański,** *pierwszy pokutnik jawny i apostoł emigracji polskiéj we Francji. Szkic biograficzny. Ustęp z pierwszéj dekady dziejów emigracji polskiéj 1831—1840 skreślił Edmund Callier. Poznań nakładem księgarni E. Calliera 1876.*“ Z godłem S. Witwickiego; „Gdyby kiedy historya naszéj Emigracji miała być dobrze skreślona, *Jański*, acz dziś nieznany prawie, ważne i piękne zająłby w niéj miejsce.“

Na tę książkę zwracamy baczną uwagę naszych czytelników, ograniczając się na podaniu tylko najważniejszych szczegółów z życia Bogdana. Urodził on się r. 1807 w Pogorzelcu w dawném województwie Płockiem. Ojcem jego był Piotr, matką Agnieszka z Hreniewieckich. Młody Bogdan uczęszczał około 1826 r. na uniwersytet w Warszawie, gdzie mianowicie z zapałem poświęcał się nauce ekonomii politycznéj, którą wykładał znany Fr. Skarbek. R. 1827 wysłał rząd krajowy Jańskiego do Paryża, aby się sposobił na profesora w przyszłéj szkole politechnicznéj warszawskiéj, gdzie za powrotem miał wykładać prawo handlowe. W Paryżu należał Bogdan pewien czas do sekty Sęsymonistów, mającéj pierwotnie reformę społeczną na celu.

R. 1832 spotkał się Jański z Mickiewiczem, który, jak pisze Wielogłowski „objął go swemi skrzydły, oderwał od ziemskich ramot i dawszy mu lot ku niebu, na świeczniku chrześcijańskim w tułactwie stawił. Jański wpił się łakomo w czysty zdrój słowa Bożego i jak brzoza polska nad brzegiem wody, ssał rdzeniem całym, korą i wierzchołkiem Boską ochłodę prawd Ewangielicznych.“ Za pośrednictwem Mickiewicza zapoznał się Jański z znakomitymi mężami, jak np. z Montalambertem, któremu dawał lekcye języka polskiego i dopomagał w mistrzowskim przekładzie ksiąg Pielgrzymstwa na język francuzki.

R. 1833 zaczęli Mickiewicz, Jański i Domejko wydawać pismo: „*Pielgrzym.*“ Umieścił Jański wiele artykułów; w jednym z nich czytamy: „My tylko w całości zachowajmy nienaruszony spadek ojców, naszą religijną wiarę. Wrócą do niéj kiedyś zmordowane ludy, a wydarłszy królom oręż, jednocząc się z Bogiem, zjednoczą swe myśli i usiłowania, i położą koniec niewoli.“ Już więc wtedy przeczuwał Jański potrzebę odrodzenia religijnego.

D. 19 Grudnia 1834 r. głównie za sprawą Mickiewicza utworzyło się Bractwo zjednoczone, do którego należeli; Ant. Górecki, Mickiewicz, Witwicki, Cezary Plater, Bogdan i Józef Zalescy, Domejko i Jański. Z tego bractwa wywiązał się tak zwany klasztorek katolicki, który 1836 r. założył Jański w Paryżu. Przyłączyli się do niego Semeneńko, Kajsiewicz i inni. Z tego to klasztorka wywiązał się późniéj zakon zmartwychwstańców, dotąd istniejący.

Jański ze wszech sił starał się o rozwój zakładu. Walczył z niedostatkiem, pracował nad siły i „był w końcu“, jak mówi Wielogłowski, „jak pelikan, który pierś sobie rozdziera i własnemi płucami karmi swe dzieci.“

Jański zakładając swój klasztorek miał zdaniem Calliera następujący cel na oku:

„Jański ani nie należał, ani też nie był twórcą skrajno katolickiego, czyli ultramontańskiego stronnictwa naszego. On przez „szybę polską“ patrzeć kazał w niebo i od razu w nawróconym człowieku prywatne i publiczne cnoty rozwijał.*) Zakładając klasztorek, zatrzegł sobie był wolność wyznania wiary politycznéj.**) Powodowany miłością zarówno Boga jak kraju, powziął myśl wielką rozbudzenia życia prawdziwie chrześcijańskiego w duchowieństwie polskiém i podźwignienia Ojczyzny z umysłowego i moralnego upadku. Wiedząc dobrze, czém jest w Polsce duchowieństwo, jak nieobliczone ono wywiera na naród, na rdzeń jego zwłaszcza — lud — wpływy; znając, jak ciemną była w kraju, z niewielkiemi zaledwie wyjątkami ta klasa, przeznaczona by nieść ziarno wiedzy i światła pod nizkie domy mieszczan i strzechy chłopów, by umysły i serca oświeconych kierować ku wysokim celom, postanowił dać Polsce światłe duchowieństwo, zdolne do spełnienia wielkich zadań, będących jego przeznaczeniem, — nie dozwalające rozrastać się religijności w chwast fanatyzmu.“

R. 1840 udał się Jański do Rzymu zapewne w sprawie swego zgromadzenia, lecz tu niedługo zakończył życie d. 2 Lipca w tymże roku. Zwłoki jego pochowano na smętarzu bazyliki ś. Wawrzyńca. Na kamieniu nagrobkowym wyryto napis, tak pięknie cechujący Bogdana: „*Hic resurrecturus qiescit*“ (tu spoczywa mający zmartwychpowstać).

Otóż najważniejsze szczegóły z życia Jańskiego. Była to dotąd acz ważna, lecz prawie nieznana postać — i zasługa wydobycia na jaw tego pod każdym względem znakomitego męża należy się cennéj pracy pułkownika Calliera. Zachęcamy usilnie publiczność, aby pilnie tę piękną i zajmującą rozprawę czytała.*) Są tam nowe zupełnie i bardzo ważne szczegóły, rozjaśniające nietylko ciemnie, otaczające Jańskiego, ale i emigracyi.

*) Ob. Część II. str. 10 — Wielogłowski.

**) Ob. Część II., str. 37 — Noworocznik Demokratyczny.

*) Z żalem wspomnieć należy, że ani Dziennik Poznański, ani Kuryer Poznański nie raczyły rozpatrzeć się w téj pracy. Pierwszemu pewnie praca Callierowa jest za ultramontańską, a drugiemu za liberalną, a więc najlepiéj ubić ją milczeniem, gdyż to taki wyborny środek, choćby z tego względu, że nie potrzeba książki czytać. Świadczy to zaiste niekorzystnie o naszém dziennikarstwie, że takiemu starannemu dziełu, jak praca Calliera, nie raczą nasze dzienniki poświęcić choćby obszerniejszéj wzmianki.

Powiastka o Wietrze.

Napisała dla młodzieży Eliszka Krasnohorska.

(Ciąg dalszy).

Dzieci już ledwie mogły iść, nawet ustać było im trudno; Witek wołał i narzekał, ale Dorotka z powodu silnego huku nic nie słyszała. Idąc dalėj napotkali stós drzew wywróconych, które im zupełnie drogę zawaliły; przytem było ciemno, gdyż gasnące promyczki słoneczne nic już nie oświecały. Ścieżki nigdzie widać nie było. Wiatr się uciszał. Rzekła Dorotka: „Trzeba nam się, kochany Witku, puścić gęstwiną, a może znajdziemy ścieżkę.“ Gdy to Witek usłyszał, zaczął krzyczeć na całe gardło i chciał uciekać do domu i byłby pewnie puścił się w stronę ku domowi, gdyby naraz nie odezwał się łoskot, jak gdy kto siekierą rąbał. „Tu są ludzie.“ zawołała z uciechą Dorotka, a Witek zaraz się obrócił i udając wielkiego zucha, krzyczał: „Hej! hej! jest tam kto?“

Odezwie się z lasu głos chrapliwy: „Przyjdźcie tylko bliżéj!“ i znowu usłyszały dzieci łoskot siekiery, ale zagłuszył go wnet nowy poświst wiatru, wychodzący z głębi lasu. Dorotka chwyciła Witka za rękę, tak iż czy chciał czy nie chciał, iść musiał. Szli przez dziką puszczę, nieraz przebiegały obok nich leśne zwierzęta, huk siekiery ginął gdzieś w dali, na wołanie nikt nie odpowiadał. Ciemno było, gdy dzieci z gęstwiny przedarły się na wolne miejsce — ale tu

nigdzie nie było widać człowieka, nawet wiatr nie zawiał. Co teraz czynić? gdzie się obrócić? Czy się położyć w lesie na ziemi?

„O ten niegodziwy wiatr, gdzie on nas zapędził!“ zawołał Witek pełen złości, zaciskając pięści. Dorotka natomiast zdjęła chustkę z głowy, a trzymając ją za koniec rzekła: „Dobry wietrzyku, zawiéj raz jeszcze i ukaż nam prawdziwą drogę.“

Wtem powstał wiatr, chustka wionęła, a Dorotka szła z nią wesoło niby z chorągiewką naprzeciw wiatru; niedługo ukazał się księżyc na niebie i ukazał dzieciom ścieżkę. Za górą las się skończył, a szerokie łąki się zaczęły. Niedaleko siedział staruszek, który miał siekierę i lnu wiązkę. Jego włosy i wąsy były wiatrem potargane, także suknia była podarta. Trząsł się od zimna i starości. Oczy miał chytre. Chrapliwym głosem pozdrowił dzieci: „Dobry wieczór; dzieci! Dokądże to tak późno?“

Dorotka pozdrowiła uprzejmie staruszka, zawiązała sobie chusteczkę na głowie i rzekła: „Jesteśmy w dalekiéj podróży, a nie wiemy jak iść. Czy nie znacie staruszku tego ojca, który ma setkami synów a mimo to żadnego? Do tego idziemy w służbę.“

„O tego to dobrze znam,“ zaśmiał się dziadowina; „łatwo go znajdziecie, powiem wam drogę: idźcie tylko wciąż naprzeciw wiatru, tak pójdziecie jutro cały dzień a na wieczór dopytacie się daléj.“

Staruszek wstał i zaczął iść daléj. Dorotka podziękowała, wzięła wiązkę lnu i niosła za dziadkiem. Zdawało jéj się, że z niego zimno wychodzi. Witek szedł w tyle i uważał, że za każdym krokiem starca wiatr się porusza i nań wieje. Zasunął tedy kapelusz na oczy, nic sobie z tego nie robiąc, że dziadek raz po raz nań zerkał i chytrze się uśmiechał.

Doszli do staréj chałupki, u któréj drzwi były popsute, okna powybijane, w dachu świeciły dziury a komin tak się nachylił, iż każdéj chwili można było się spodziewać upadku.

„Jeżeli nie macie gdzie przenocować,“ rzekł starowina, „to zostańcie u mnie do rana; dam wam chętnie nocleg, tylko mi zapalcie ogień. Mnie przez cały dzień gaśnie na ognisku, to też mnie staremu zimno, że się aż trzęsę.“

„Chętnie zapalimy i podziękujemy wam, tylko pozwólcie, abyśmy się w waszéj chałupce przespali.“ Wnet Dorotka zamknęła drzwi i okna i zaczęła niecić ogień. Witek łamał drewka, lecz dziwna rzecz, zdawało mu się, że ze staruszka zimny wiatr wychodzi, który przeszkadzał rozpaleniu się ognia. Siedm razy zgasnął ogień, a siedm razy Dorotka cierpliwie nanieciła. Witek spoglądał chmurnie na starca i złorzeczył wiatrowi. Wreszcie się rozgniewał, rzucił drewienka, położył się na swoje zawiniątko, zjadł chleba i usnął; Dorotka atoli tak długo się męczyła, dopóki nie zapaliła ognia; potem powiedziała staruszkowi dobra noc, zmówiła paciérz, pomodliła się za ojca a położywszy się usnęła.

Gdy się dzieci rychło rano obudziły, nie ujrzały chałupki, zniknęła jakby ją wiatr porwał, a oni obydwaj leżeli na wonnéj łące, ptaszki przy nich dzióbały okruszyny chleba, a tylko trochę popiołu i kilka kamieni leżało — wszystko zdawało im się, że tylko snem było.

Dziwiły się dzieci temu wszystkiemu, ale wnet pomodliły się, zjadły trochę chleba i wnet w dalszą udały się podróż. Wiatr wiał, ale nie tak ostro jak wczoraj. Dziś wiał od gór w dali, do których prowadziła droga samemi łąkami, gdzie mnóstwo było prześlicznych kwiatków, które wiatrem poruszane, skłaniały główki, jakoby na powitanie idących. Podróż była bardzo przyjemną. Gdzie niegdzie wyskoczyła żabka, albo sunęła jaszczurka, ale człowieka nigdzie nie było.

Tak szły do samego południa, aż przyszły do lipy pod którą płynął potok; tam usiadły, aby odpocząć i zjeść obiad. Dorotka nakrajała chleba, a gdy się Witek nasycił, zaczął znowu mądrować, gdyż tęskno mu było za domem i bał się służby u obcych ludzi.

„Dorotko,“ rzekł z płaczem, „ten obcy pan jest złym dobroczyńcą, jeżeli się spodziewa, abyśmy mu odpłacili, co nam dał.“

Dorotka łajała go łagodnie, mówiąc: „Czybyś chciał, aby nasz ojczulek był taki zły i niewdzięczny, żeby nie chciał swemu dobroczyńcy się wypłacić?“

Witek zamilkł i gryzł skórkę od chleba, niedługo atoli zaczął na nowo: „Dosiu, ojciec przyrzekł panu, że zapłaci, skoro zgromadzi pieniędzy, ale gdy nie zgromadził, przeto nie potrzebuje zapłacić.“

„Ojciec nie zebrał pieniędzy, ale zebrał dla nas wiele dobrego pouczenia, że mamy żyć poczciwie, przeto pójdziemy spełnić swą powinność i odsłużyć się naszemu dobroczyńcy, jak umiemy.“ Tak zbijała Dorotka złe myśli Witka, ale gdy widziała, że mu łzy płyną po twarzy, uczuła żal nad nim; spojrzała na lipę, gdzie było gniazdo dzikich pszczół, a że pszczółek nie było w domu, przeto wzięła piękny plastr miodu i podała Witkowi. Ten jadł ze smakiem, a tymczasem zebrała Dorotka rzeczy do koszyka i chciała iść daléj, Witek zjadł miód, a potem chciał wrócić do domu.“

„Dosiu,“ błagał, „wróćmy się napowrót, gdyż inaczéj zabłądzimy! Dziś wieje wiatr zupełnie z innéj strony, aniżeli wczoraj i prowadzi nas na błędną drogę!“

Dorotka objęła Witka za szyję i tak mu prawiła: „Czy nam się podoba czy nie, my musimy iść daléj naprzeciw wiatru. Przyrzecz mi, że przestaniesz narzekać.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

„Lech“ wychodzi co tydzień w sobotę. Przedpłatę ćwierćroczną w ilości 2 marek przyjmują wszystkie poczty krajowe. Każda poczta obowiązana jest za 2 marki wszystkie dawniejsze nr. Lecha, a za 4 marki za całe półrocze do 1 Lipca br. sprowadzić. Można też zapisywać wprost w redakcyi za cenę 2 m. ćwierćrocznie, 4 m. półrocznie, 8 m. rocznie, za co się franko posyła wraz z premią. Przedpłata roczna dla Austryi 5 złr. Dawniejsze numera są w zapasie

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.